



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### GLĄZY ŚPIEWAJĄCE.

Głazy śpiewające należą do najosobliwszych zjawisk przyrody. Znano je w odległej starożytności, a otaczała je zawsze zabobonna prawie cześć ogółu, który przypisywał im nadprzyrodzony początek, oraz czarodziejskie własności. Teraz nawet, chociaż nauka odkryła przyczynę zjawiska, budzi ono podziw i ciekawość podróżnych.

Najsławniejszym z takich śpiewających głazów jest tak zwany posąg Memnona, w Egipcie, nie mający nic wspólnego z Memnonem, przedstawia bowiem Amenopisa III. Nieopodal znajduje się posąg drugi, znacznie mniejszy, który wyobraża żonę i córkę tego monarchy. Obie figury wykute z żółto-brunatnego piaskowca, mocno są uszkodzone; lepiej stosunkowo zachował się posąg króla, wysoki na 18 przeszło metrów. Starożytne podanie utrzymywało, że gdy na posąg ów, stojący na otwartej równinie, padną pierwsze promienie słońca, zaczyna on wydawać dźwięki podobne do śpiewu, a jeden ze starożytnych autorów, dalej nawet idzie, mówiąc o posągu Memnona, że jest „obdarzony głosem”.

Czemże sobie wytłómaczyć przyczynę tak niezwykłego zjawiska? Jak wiele pozornych cudowności, tak i tę objaśnia nauka: badania bowiem dokonane tak nad posągiem, jak i nad innymi kamieniami posiadającymi te same własności, wykryły, że przyczyną wydobywającego się z nich dźwięku jest raptowne rozszerzanie się pod działaniem słonecznego ciepła powierzchni, którą noc ochłodziła. Zjawiska podobne



Posąg Memnona w Egipcie.

przedstawiają głównie skały granitowe, chociaż zauważyć je można i na głazach innego gatunku.

W Bretanii, w Guildo, znajduje się także rodzaj śpiewających skał, które uderzone młotem, dźwięcząc zaczynają przeciągle, a jeżeli wprawi się jednocześnie w drganie kilka sąsiadujących z sobą głazów, wtedy wydobywające się z nich dźwięki, utworzą rodzaj akordu bardzo wyraźnego, a i tu także powstaje on pod wpływem zmiany ciśnienia atmosferycznego.



Na wyspie Hawai, w odległości stu kroków od brzegu morskiego wznosi się na 18 metrów wysoka łąwica piaskowa, długa blisko na 2 wiorsty, a złożona ze szczątków raf kamiennych i z odłamów wapienia. Piasek łąwicy, wprawiony w ruch, wydaje odgłosy różnego natężenia i siły. Czasem przypominają one szum odległego oceanu, czasem dźwięk w dali się odzywających instrumentów muzycznych, a czasem też hałas podobny do szczekania psa.

## Zale roślin po skonie Zbawiciela,

Według podań średniowiecznych  
przez Sewerynę Duchinską.

Skonał Chrystus! — jęk rozległ się głuchy;  
Wieść pomknęła z pędem zawieruchy,  
Zbiegła ziemię od końca do końca.  
Chmur tumany przyćmiły blask słońca;  
Gromy biją, wstrząsły się opoki  
Straszny popłoch padł na świat szeroki,  
Na dno pieczar zbiegł wszelki twór żywy,  
W ślad człowieka zwierz i ptak pierzchliwy.

Świat oniemiał — w koło cisza głucha,  
Już w powietrzu nie zabrzęczy mucha.  
W polu świerszczyk nie skrzeczy z wieczora  
Ani pszczołka tak do lotu skora  
Nie wybieży z barci po miód nowy,  
Wkoło cisza i pomrok grobowy.

Tylko drzewa i kwiaty w noc ciemną,  
Z krzewinami zawodzą tajemno.  
Damasceńska tak ozwie się sosna:  
— Chrystus umarł! — jam bardzo żałosna!  
Zrzucę barwę na zawsze zieloną  
Czoło ciemną uwieńczę koroną,  
Szukać będę cienistej ustroni,  
Gdzie mnie promyk słonka nie dogoni.

I wyrzecz winogrod z Sorrento:  
— Chrystus umarł! stoczono krew świętą,  
Me jagody w czarne się przemieniają,  
A gdy sok z nich wycisną jesienią  
Płyn ten słodki przyjmie barwę nową.  
I świat nazwie go *Łazą Chrystusową!*"

Babilońska wierzba szepnie z żalem:  
— Chrystus umarł! wiatr od Jeruzalem  
Przybiegł do mnie z jęki żałosnemi;  
Odtąd wiecznie schyłona ku ziemi  
Skąpię róższki w wodzie Eufratu  
A gdy zorza rąbkami szkarłatu  
Świat zrumieni — róższki łzawą rosą  
Moje skargi po ziemi rozniosą.

Jęknie cyprys na szczycie Karmelu:  
— Chrystus umarł! ja, com od lat wielu  
Wznosił głowę pod obłoki dumną.  
Będę odtąd grobową kolumną.

— Z tobą razem — cis głucho zagwarzy —  
Będę stróżem grobów i cmentarzy;  
Na gałęzi mej nie spocznie ptaszę,  
Mym wyziewem rój pszczołek odstraszę,  
Sen śmiertelny sprowadzę na ludzi,  
Pod mym cieniem nikt się żyw nie zbudzi.

Dąb stuletni miota się i burzy,  
Wiatr potrząsa liśćmi wonnej róży,

Wszystko pada pod skrzydłem orkanu,  
Drgnęły cedry, olbrzymy Libanu,  
Drobny lyzop wędnie na dolinie,  
Jęk żałosny ku niebiosom płynie.

Jedna tylko zuchwała osina,  
Stoi prosto, czoła nie nagina:  
„Chrystus umarł — obojętnie rzecze —  
Ukrzyżowan za winy człowieka,  
Krwiał stoczoną zbawił grzeszne dusze,  
Jam niewinna... z miejsca się nie ruszę.

A ponad nią ulata do góry  
Na obłoku aniol jasnopióry,  
Niesie kielich przed oblicze Pana;  
W pełnej czasy święta krew zebrana  
U stóp krzyża na szczycie Golgoty;  
Boski goniec schylił kielich złoty,  
Na osinę padła krwi kropelka...  
Cud, cud Boży! przemiana w niej wielka.  
Tą, co z głową podniesioną stała,  
Kiedy ziemia z bólu skamieniała...  
Wskróś śmiertelne wstrząsną teraz dreszcze.  
Zbiegły wichry — a ona drży jeszcze,  
Błysło lato słonecznemi żary,  
A jej skrzepłe trzęsą się konary,  
Wiek za wiekiem ubiega koleją  
A gałązki jej wiecznie się chwieją.  
O swej mocy wszak wytrwać nie może!  
Słabych wspiera miłosierdzie Boże.  
Ten się tylko łaski nie doczeka,  
Komu łzami nie wzbiera powieka,  
Komu pycha do głębi wysuszy  
Zdrój miłości w samolubnej duszy!

## BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Ujrawszy go, Dżems zerwał się z ziemi i jak szalony zaczął skakać do góry.

— Żyje, żyje! — krzyczał, rzucając się ku Fordowi; — patrz pan, powraca!

Balon zatrzymał się niebawem ponad głowami naszych marynarzy; głuchy grzmot wypuszczanego przez klapę wodoru dowodził, że Gromskiemu pilno było położyć koniec smutnym domysłom towarzyszy.

W kilka minut potem łódka uderzyła o śnieg; u steru stał uśmiechający się inżynier, z nogą opartą na krwawiącej paszczy nieżywego niedźwiedzia.

— Cztery kule rewolwerowe ma w łbie nieborak — rzekł, dając znak towarzyszą, aby się zbliżyli; — wpakowałem mu je, nim ochłonął z pierwszego wrażenia żeglugi nadpowietrznej.

— Dalibóg, nie znam takiego drugiego człowieka — rzekł Dżems rozrzuwniony; — myślny tu już oplakali pana. Niech mnie piorun trzaśnie, — I stary marynarz potężnie uściśnął dłoń Gromskiego, jakby pragnąc się przekonać, że ten istnieje jeszcze w samej rzeczy.

— Ani się domyślasz, kochany inżynierze, jakie straszne chwile przepędziliśmy tutaj — rzekł Ford, całując towarzysza. — Myślałem, że już po wszystkiem. Doprawdy.

— Oryginalna przygoda, na honor — odparł Gromski. — Nigdy nie przypuszczałem, że będę miał takiego pasażera na swoim balonie.



Nasi marynarze, przyszedłszy nieco do siebie, powiedzieli Gromskiemu o swoim zamiarze wzniesienia kopca.

Ten zgodził się z zapalem na projekt.

Zabrano się do dzieła z całą energją.

Dla braku kamieni robota była nadzwyczaj uciążliwą; nasi żeglarze krwawili sobie palce, wylamując z pobliskiego lodnika, niesione przezeń bryły skaliste. Kopiec rósł więc powoli. Po dziesięciogodzinnej pracy zdołano zaledwie wzniesić go do 8-miu stóp wysokości. Ford, wydariuszy kartkę ze swego dzienniczka, sporządził krótki dokument, który postanowiono umieścić wewnątrz. Brzmiał on, jak następuje:

„Niżej podpisani, wzniosłszy się dnia 29 grudnia 1889 roku balonem z przylądka Horn, dotarli do tego miejsca, położonego wśród gór, które otrzymały nazwę *Snieżnych*; w dowód swego pobytu w *Księżycowej dolinie* składają niniejszy dokument we, wzniesionym własnymi rękami, kopcu kamienistym.

Podpisano: Dowódzca balonu „Polska” inżynier Gromski.

Kapitan Ford.

Sternik James Gatling.

w Księżycowej dolinie d. 1 stycznia 1890 r.

Stos kamieni, mozolnie ułożony przez naszych żeglarzy, leżał na gładkiej powierzchni skały, zasłonięj od południa i wschodu wystającymi urwiskami i mógł być z łatwością dostrzeżony z dna doliny. O jedenastej dopiero nasi żeglarze skończyli znużającą pracę, która miała na wieki świadczyć o ich obecności wśród tych martwych pustkowi.

\* \* \*

Szczęśliwa gwiazda naszych bohaterów zbladła. Żywioły, uległe z początku, zbuntowały się przeciw nim nagle, wszystko sprysnęło się, aby sprowadzić ich z drogi, obalać i powstrzymać. Biegun, otuliwszy się w grubą oponę mgieł i chmur nieprzebitych dla promieni słonecznych, szydził sobie od czternastu godzin z usiłowań trzech śmiarków, pragnących wydrzeć mu jego tajemnicę.

Stało się to tak raptownie, że załoga aerostatu nie miała czasu zdać sobie sprawy z zachodzącej zmiany. W dwie godziny po opuszczeniu „Doliny Księżycowej” temperatura powietrza na wysokości 1000 metrów ponad ziemią spadła nagle z 4° ciepła do 1° ponad zerem; na horyzoncie pojawiły się gęste warstwy obłoków, które około 3-ciej zajęły całe sklepienie. Słońce, ten jedyny drogowskaz odważnych żeglarzy, znikło poza oponą pary wodnej, której nie mógł rozproszyć wiejący ciągle wiatr wschodni.

Kapitan szukał daremnie przyczyn tego nagłego nagromadzenia się chmur; przypuszczał, iż wskutek zetknięcia się ciepłego cyrkularnego prądu z powierzchnią gór, pokrytych śniegiem i lodem, zawarta w nim para wodna zgęszczała się nagle, tworząc te nieprzeniknione dla światła, wilgotne obłoki, które uniemożliwiały zupełnie ruch aerostatu.

Inżynier stał się nadzwyczaj ostrożnym od chwili w której przekonał się, iż podróż bez igły magnesowej jest błędzeniem po omacku. Rezultaty spostrzeżeń, dokonanych zaraz po opuszczeniu doliny Księżycowej, dowiodły, iż aerostat w przeciągu 12 godzin przeleciał zaledwie 450 kilometrów, zamiast 750, dlatego prawdopodobnie, iż opisywał w przestrzeni mocno falistą linię; słońce zasłanianie obłokami nie mogło więc służyć za wiarogodny drogowskaz.

Dla tych względów Gromski zatrzymał maszynę, skoro tylko chmury zasnuły sklepienie niebieskie; od dwunastu godzin aerostat biegł z prądem cyrkularnym, oczekując na pojawienie się gwiazdy dziennej, aby puścić się w dalszą drogę.

Księżycowa dolina, leżała podług obliczenia kapitana, pod 82°35' szerokości, a 11°40' długości wschodniej, aerostat więc od dnia 31 grudnia posunął się o 98° 40' stopni na wschód, czyli przebiegł czwartą część obwodu równoleżnika.

Aż do piątej godziny rano, dnia 2 stycznia, niebo nie wypogodziło się jednak; nasi żeglarze stracili nadzieję, iż ujrzą wkrótce słońce. Inżynier nie chciał czekać dłużej a jednocześnie obawiał się jechać na oślep. Trzeba było

atoli zdecydować się na jedno lub na drugie. Postanowiono zatem puścić się w drogę, kierując balon ku najjaśniejszej części nieba; Gromski, wprowadzając w ruch maszynę, przekonał się z trwogą, że zapas benzyny nie mógł w danych warunkach w żaden sposób wystarczyć na przebycie 900 kilometrów, aerostat bowiem zbaczając, z konieczności musiałby zrobić nie 900, lecz co najmniej 1200. Inżynier zmniejszył więc do połowy szybkość balonu; miał nadzieję oszczędzić w ten sposób paliwa.

Opierał się on na znanem prawie mechaniki, podług którego praca zużywana na pokonywanie oporu powietrza wzrasta proporcjonalnie do trzeciej potęgi z prędkości; redukując więc tę ostatnią z 60 kilometrów do 30, potrzebował siły nie sześćdziesięciu lecz ośmiu koni.

W ten sposób balon przy spokojnem powietrzu, zamiast 400 kilometrów mógł przelecieć o 200-stu kilogramach benzyny przestrzeń 8 razy prawie większą.

To dodało odwagi naszym żeglarzom.

Niebawem, balon, stawszy się lżejszym wskutek utraty kilku kilogramów benzyny, dotarł do nieprzeniknionych chmur i zanurzył się w nich całkowicie.

Była to podróż prawdziwie poomacku: nasi żeglarze pogrążeni jakby w mgłę, nie widzieli nawet zawieszzonego ponad swoimi głowami aerostatu; Ford chciał zatrzymać maszynę, lecz Gromski sprzeciwił się temu, miał bowiem nadzieję że balon przedrze się wkrótce przez tę zasłonę ku słońcu. Rzeczywiście; po sześciogodzinnej podróży wśród mgły, nasi żeglarze ujrzeli nagle pogodne niebo. Ford powitał słońce z taką radością, jak poganin; niezwłocznie wystawił swoje instrumenta i nie usiadł wprzód, dopóki nie oznaczył dokładnie szerokości geograficznej.

Zacny marynarz nigdy zapewne nie zrobił takiej zdziwionej miny, spoglądając na mapę i instrumenta, jak tym razem: widocznie nie wierzył sobie, gdyż porównywał wszystkie zegarki i badał sekstans, czy nie zepsuty; nie znalazłszy jednak żadnego błędu w swych spostrzeżeniach, wzruszył potężnie szerokiemi swemi ramionami.

— Hm, ile czasu potrzebował Magellan, ażeby odbyć podróż naokoło świata, wiesz pan? — zagadnął, zwracając się do inżyniera, siedzącego u steru.

— Zdaje mi się, że trzech lat, kapitanie.

— A teraz jak prędko można skutecznie taką przejażdżkę?

— Pamiętam, iż ośmdziesięciodniowa podróż bohatera Juljusza Verne, Phileasa Fogg'a, niedawno jeszcze wydawała się nadzwyczajnością; sądzę jednak, że dziś przy sprzyjających okolicznościach można objechać naszą planetę w 77 dni.

— No, to pozostawiliśmy w tyle nie tylko tych, co jeździli przed nami naokoło świata, lecz i wszystkich przyszłych podróżników 19-go i 20-go stulecia; oblecieliśmy bowiem kulę ziemską w czterdzieści ośm godzin.

— Jakto? — zawołał, śmiejąc się, Dzems.

— Bardzo prosto, znajdujemy się bowiem pod 38°40' długości zachodniej od Greenwich, to jest na tym samym południku co przed dwoma dniami.

— Spodziewałem się tego, kochany kapitanie — rzekł Gromski; — wiatr cyrkularny krąży dokoła bieguna, obiegliśmy więc wraz z nim równoleżnik. Jaką mamy szerokość?

— Ośmdziesiąt cztery stopnie.

(d. c. n.)

## ZŁOŚLIWY SŁOŃ.

(Dokończenie).

Spóźniłem się trochę, bo kiedy stanął w przestroniejszym miejscu, przekonałem się, iż nie zdążę już wystrzelić. Tuż przedemną, niby taran, sterczała olbrzymia trąba i tęt-



niały głucho po wilgotnym gruncie cztery potężne nogi słonia, podobne do grubych pni palisady.

Instyktownie odskoczyłem w tył, ustępując z drogi pędzącemu na ślepo królowi puszczy.

Małe złośliwe oczy zwierzęcia dostrzegły mnie wszakże pośród zielonych splotów, gdyż uczulem, że coś miękkiego i grubego niby wąż boa, okręca się dokoła mych piersi, a równocześnie prawie straciłem grunt pod nogami, uniesiony w górę olbrzymią siłą.

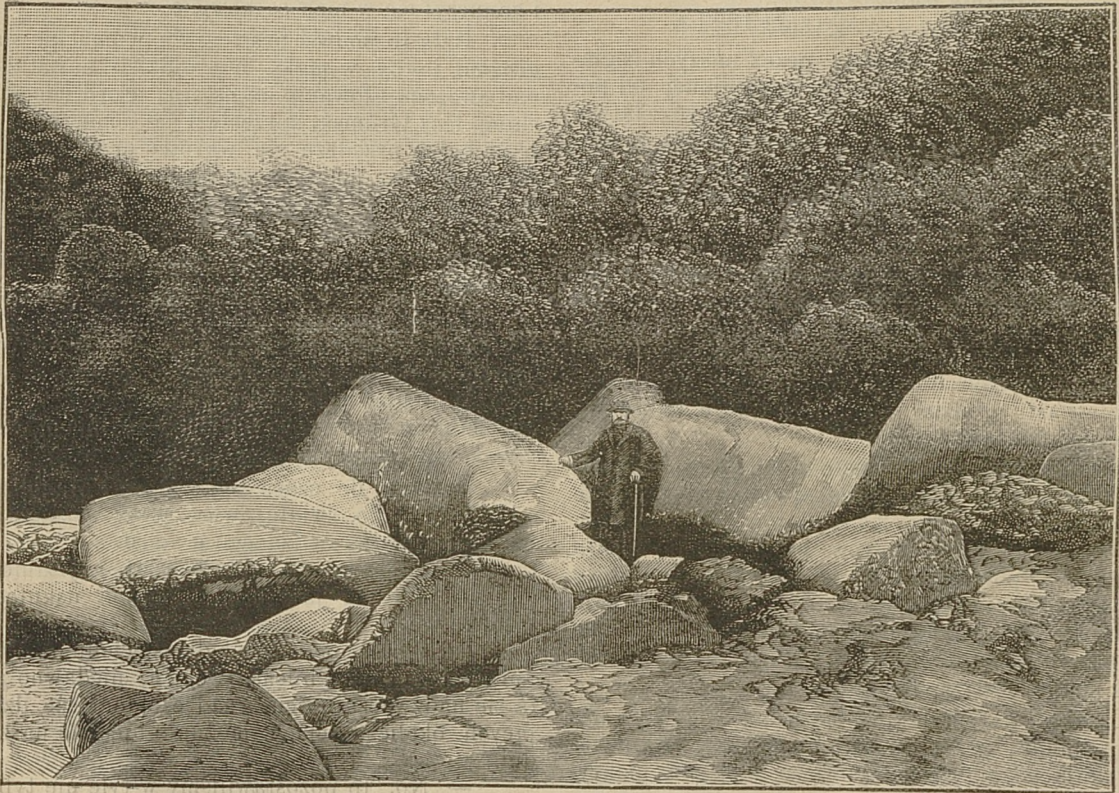
Dziwna rzecz jednak; pomimo strasznego bólu i braku tchu wskutek tych uścisków, zawieszony w powietrzu, zdawałem sobie jasno sprawę z mego położenia. Słoń potrząsał mną jak żdźbłem trzciny, nie przestając pędzić naprzód; ga-

me korony okolicznych drzew i — zatrzymawszy się w biegu śledził małemi swojemi oczkami drogę, jaką opisywałem wśród pnączów, czekając widocznie, aż spadnę mu pod nogi.

Tymczasem stało się coś, czego dotąd nie mogę sobie wytłómaczyć: spadanie moje przedłużało się dziwnie; zamiast znaleźć się na ziemi, przelatywałem powoli przez jakąś giętką, sprężystą siatkę, która chwytała mnie za ręce, to znów za nogi, wypuszczając ze swych objęć i brała w nie napowrót... Kilka razy, już, już zatrzymałem się w jej splotach, lecz jedno poruszenie strącało mię znowu niżej...

Jak długo trwało to straszne opadanie, nie wiem.

Doznałem bowiem dzwonienia w uszach, zdawało mi się, że służący mój daje sygnał umówiony, słyszałem jakiś strzał,



Głazy śpiewające.

łęzie drzew boleśnie uderzały mię po twarzy; machinalnie podniosłem obie ręce, chcąc zabezpieczyć oczy.

— To ostatnia twoja chwila, James — rzekłem do siebie w duchu.

Spodziewałem się, że słoń rzuci mię na ziemię i rozdepce jednym stąpnięciem swej kolosalnej nogi. Olbrzym jednak zaciskał coraz bardziej trąbę, czułem, iż gną mi się żebra i cała klatka piersiowa jak ściśniony koszyk... Przez te kilkanaście okropnych sekund, tysiąc myśli z błyskawiczną szybkością przemknęło przez moją biedną głowę.

— Udusi mię... roztrzaska o ten pień... i t. d. Już, już, miałem uderzyć głową o potężną gałąź, gdy w tem, zupełnie niespodzianie, znalazłem się w wolnej przestrzeni. Leciałem gdzieś w górę, daremnie starając się zaczepić rękami za muskające mnie liany.

Olbrzymi zwierzył wyrzucił mnie, jak piłkę, aż pod sa-

czy też było to uderzenie głowy o jakiś twardy przedmiot — mgła czerwona zasłoniła mi oczy, i straciłem przytomność.

Przyszedłszy do siebie, spostrzegłem, iż ciało moje otoczone jest poplątanemi zwojami gęstych pnączów, drżących rytmicznie wraz z sąsiednimi gałęziami.

Siatka ta ugięła się za każdym mem poruszeniem, co mi odrazu przypomniało położenie w jakim się znajdowałem.

Przez małą przerwę w tej zielonej tkaninie widziałem dokładnie krzaki rosnące u stóp olbrzymów leśnych. Od dzielała mnie od ziemi przestrzeń co najmniej dziesięciu metrów; byłem zawieszonym w powietrzu. Jeden więc silniejszy powiew wiatru, rozchyliwszy liany na których spoczywałem, mógł strącić mię w przepaść. Schwyciłem się odruchowo za najgrubszą nitkę olbrzymiej sieci i ubezpieczywszy się w ten sposób od nieprzewidzianego upadku, począłem się na-



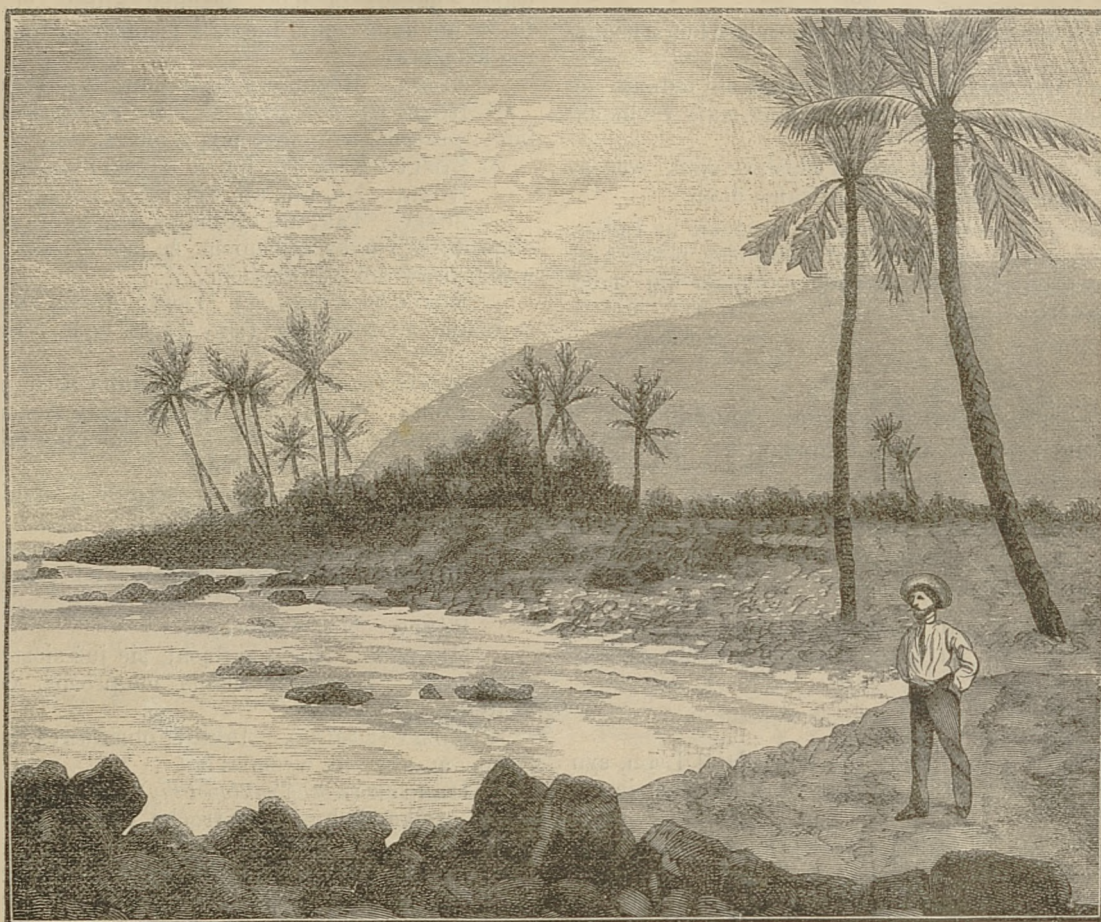
myślać nad sposobem wydobywania się z przykrego i niebezpiecznego położenia. Na siły moje liczyć bardzo nie mogłem; trąba słonia nadwreżyła je dała mi się we znaki; uczuwałem dotkliwie bóle we wszystkich członkach.

Nabrawszy z trudem w zgniecione piersi powietrza, długo przywoływałem mego służącego, który jak przypuszczałem znajdował się gdzieś w pobliżu. Daremnie jednak. Głuche echo było jedyną odpowiedzią na moje wołanie, śnać towarzysza mój, nie mogąc mnie znaleźć, myślał, że zginąłem pod

smukłym kokosem, wznoszącym dumnie głowę ponad okoliczne drzewa. Nie mogłem cofnąć się ani posuwać naprzód.

Opuściłem wygodny, naturalny hamak, na którym zawiesił mi wypadek; nie miałem teraz żadnej trwałej podpory. Rozmyślając nad sposobem odkrycia sobie jakiejś drogi spostrzegłem grubą lianę, zwieszającą się tuż ponad moją głowę; splaywała ona ze szczytu kokosowej palmy i ginęła w gęstych krzakach, rosnących tuż przy ziemi.

Musiałem jej dosięgnąć za jakąbądź cenę. Zrywający



Śpiewająca góra piaskowa na wyspie Hawai.

nogami rozwścieczonego słonia i pobiegł ze smutną wieścią do półkownika. Piekące dotkliwie słońce świadczyło iż minęło już południe.

Cóż począć? W pobliżu nie było żadnej gałęzi, z pomocą której mógłbym się dostać na jakie drzewo, a stamtąd na ziemię. Nie pozostawało mi zatem nic innego jak czołgać się po horyzontalnych pnączach aż do sąsiedniej magnolii.

Przedsięwzięcie to ze względu na brak sił było nieczynie nie ryzykownem, nie mogłem się wszakże namyślać.

Zebrawszy więc całą energię, począłem prześlizgiwać się jak wąż po zielonych splotach liany w obranym kierunku. Niebawem jednak przekonałem się, że plan mój jest niewykonalnym; szerokie, często pojawiające się przerwy pomiędzy pnączami, przecięły mi drogę; musiałem zatrzymać się tuż obok olbrzymiego festonu, łączącego magnolię z wy-

się wiatr pomógł mi do rozwiązania trudnego zagadnienia.

Usadowiłem się jak najpewniej na otaczających mnie pnączach i miarowym ruchem nogi rozbujałem zielone sploty.

Jeden śmiały rzut i dosięgłem zbawczej liany, po której już, niby po linie, dostałem się z łatwością do ziemi.

Karabin mój leżał tuż obok głęboko wyciśniętych na wilgotnym gruncie śladów słonia; podniosłem go skwapliwie, odwiodłem szybko kurek i dałem ognia. Spodziewałem się w ten sposób zwrócić uwagę półkownika, który prawdopodobnie miał mię za zgubionego. Na echo mego wystrzału odpowiedziały radosne okrzyki mego służącego, który wraz z półkownikiem i ludźmi z plantacji daremnie szukał mego ciała od samego świtu.

— Myślałem, że już słon cię polknął! — zawołał z uśmie-



chem półkownik, ściskając mi serdecznie dłonie; zniknął nam bowiem bez najmniejszego śladu. Gdzieżoś podziewał się?

Musiałem niezwłocznie zaspokoić ciekawość zacnego półkownika.

— A cóż słoń? — zagadnąłem z kolei, skończywszy opowiadanie swej dziwacznej przygody.

— Nikt go nie widział — odparł półkownik; — gdyby nie te świeże ślady i twoja nienaturalna bladeść myślałbym, że żartujesz z nas sobie.

— Usnęłaś zapewne, lotrze! — rzekłem, zwracając się do mego służącego — twojej drzemki o małym życiu nie przypłacił.

Indyanin, zamiast odpowiedzi, przyłożył tajemniczo palec do ust.

— Panie, ciszej — szepnął przewracając oczami; — nie trzeba wymawiać jego imienia... To... on...

— Wasz radzaliście chciałeś powiedzieć — odparłem z uśmiechem.

No, niechże i tak będzie... spodziewam się jednak, że jutro nie ujdzie już mojej kuli... teraz mamy mały rachunek do załatwienia.

Jakoś w istocie, w trzy dni potem złośliwy słoń, wracając nad ranem otrzymał odemnie kulę w same ucho.

Śmierć zwierzęcia zrobiła niezmiernie wrażenie na Indianach, którzy od tej pory uważali mię za człowieka, posiadającego moc nad czarodziejskimi siłami, z czegom się śmiał w duchu z całego serca.

Bohdan.

## MY I ONI.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Bronisławę Porawską.

(Dokończenie).

ZENON. A któż to grać będzie?

HENRYK (*pokazując na Zosię i Rózię*). Moje siostry (*z ukłonem*) ja, no, i pan.

ZENON. Tylko nie ja.

HENRYK. Dlaczego?

ZENON. Uważa pan, jakby się dowiedział Leon, syn bogatego księcia X. zerwałby ze mną stosunki, że się nie umiem szanować.

RÓZIA (*podnosząc się szybko z krzesła*). Co to ma znaczyć? coby to panu ubliżało?

ZENON (*powoli*). To jest, przepraszam... może się źle wyraziłem... ale, w każdym razie grać nie będę. Bo uważa pan, Leon, syn księcia X. z którym poznałem się u wód, bywa u Alfonsa XIII-go i był prezentowany królowej niderlandzkiej Wilhelminie-Helenie, gdyby więc dowiedział się, że ja grałem teatr amatorski... (*wahając się*) to jest... jakby tu powiedzieć... to jest, nie z ludźmi naszego stanowiska, przepraszam, jeżeli to pani ubliża, ale Leon zerwałby ze mną.

RÓZIA (*obrażona*). W takim razie, ten Leon syn księcia X., którego przyjaźnią tak się pan szczycisz, musi mieć bardzo płytko w głowie i pusto w sercu.

ZENON. Dlaczego?

HENRYK. Róziu! co ty mówisz, jakto, miałby płytko w głowie i pusto w sercu ten, ktoby ceniał ludzi podług ich tytułów i majątku?

RÓZIA (*żywo*). Naturalnie, nie ubliża nasze towarzystwo panu Zenonowi, i ten tam p. Leon nie miałby racji, gdyby przez to chciał zrywać z panem Zenonem.

ZENON. Ależ to zupełnie stosujesz pani do mnie, czy tak?

RÓZIA. Do pana? nie, mówię o tym tam panu Leonie.

ZOSIA (*zbliżając się do Rózi*). Czy istotnie masz panu Zenonowi za złe, że nie chce należeć do naszego amatorskiego teatru?

RÓZIA (*z dumą*). O! bynajmniej, dziwię się tylko, że pan Zenon (*z naciskiem*) raczył przyjechać z Henrykiem.

ZENON (*oddalając się nieco z Henrykiem mówi po cichu*). Skończ raz tę scenę, bo doprawdy wstyd mi udawać nawet i wygłaszać takie niemądre zdania.

HENRYK. Chwilę jeszcze, czy nie uważasz że moja siostrzyczka nie spostrzegła się jeszcze!

ZOSIA (*ciszej do Rózi*). A to impertynent, a jaki dumny, aż wstrętnie słuchać co on mówi.

RÓZIA (*z gniewem*). Znać że pustki ma w głowie, i nie dla niego, ale dla nas ubliżenie z takiego towarzystwa.

ZOSIA. Naturalnie, cóż to nie umiemy się znaleźć przyzwójcie? czy nas rodzice nie kształcą? a że nasz ojciec nie jest bogatym i tytułowanym...

RÓZIA (*przerzywając*). Sto razy nasza mamusia więcej warta, aniżeli ta pani hrabina, która syna tak wychowała, że nie umie cenić ludzi, i pogardza nami dla tego, żeśmy nie księżętą.

ZOSIA. Róziu, czy to ty mówisz te słowa?

RÓZIA (*spostrzegłszy się mówi pomieszana*). Ale... bo... bo... przecież co innego my, a oni...

ZOSIA. Kto? oni, ludzie bogaci i tytułowani?

RÓZIA. No, nie, ale widzisz... ich ojciec jest rządcą.

ZOSIA. Tak, ale ojczuś mówił, że oni są nam równi wychowaniem i wykształceniem, że pan Żarski jest nieposzlakowanej prawości człowiekiem...

RÓZIA (*przerzywając*). Dostyc, dostyc, zaczynam rozumieć że byłam nierozsądną (*wstrząsając się*) Niecierpię tych tam ludzi.

ZENON (*zbliżając się*). Co panna Róża mówi? —

RÓZIA. O, nic ważnego dla pana Zenona.

HENRYK (*z uśmiechem*). Czemuż nie powiesz, hrabiego, to brzmi ładnie, a ty to lubisz.

RÓZIA. Daj mi pokój, zmieniłam zdanie.

HENRYK. Tak prędko?

ZOSIA. Tak wzięła do serca słowa pana Zenona.

ZENON. Chciałbym wiedzieć co panna Róża o mnie myśli?

RÓZIA. Nic ciekawego.

HENRYK. No, nie dąsaj się już siostrzyczko, to były tylko żarty. Zenon na usilne me prośby, odegrał małą komedijkę.

RÓZIA (*z żalem*). Jakto? obmówiłeś mię przed panem Zenonem, aby mię wyśmiał?

HENRYK (*trochę zakłopotany*). Obmówić, to cię nie obmówiłem, tylko, tak... tak trochę zwierzyłem mu się po przyjacielski.

ZENON. O, już mię Henryk drugi raz w tak trudnem położeniu nie postawi, nie będę tak łatwowiernym.

ZOSIA. Jakto?

ZENON. Pierwej wymógł na mnie słowo, że uczynię co on zechce, zanim mi powiedział o co rzecz idzie, tym sposobem, prawilem te rzeczy, o jakich nawet moim prądziadom nigdy się nie śniło.

RÓZIA (*ciagle obrażona*). W każdym razie połowa jest prawdy, a tu i czwartej części dostyc, aby...

ZENON (*dokończając*). Aby... wiem co ma być dalej—aby się przedstawić jako skończony idyota.

RÓZIA (*uśmiechając się*). Tego nie myślałam.

ZOSIA. Lekarstwo było trochę gorzkie.

HENRYK (*zacierając ręce*). Ale skuteczne jak kto siebie zobaczy w zwierciadle, to wie jak wygląda.

ZENON. Więc tem zwierciadłem dla panny Róży, byłem ja, głosząc te zdania? Czyżbyś sądził Henryku, że twoja siostra istotnie miała takie przekonania?

RÓZIA (*pomieszana*). Takie idyotyczne przekonania, jak pan Zenon powiada.

ZENON. Ależ nie, nie, ja to mówiłem do siebie, proszę mi wierzyć, nie miałem zamiaru ubliżyć pannie Róży. Ach! ten Henryk.

ZOSIA. Puśćmy wszystko w niepamięć, a teraz chciej pan powiedzieć, czy zechcesz należeć do naszego amatorskiego teatru?



ZENON (*z ukłonem*). Przyjechałem właśnie po rolę, ale przedtem, muszę uzyskać przebaczenie panny Róży.

RÓZIA. Mam większy żal do Henryka aniżeli do pana; brat, powinien mię był oszczędzić.

HENRYK. Ja cię przeproszę siostrzyczko, a później wiem że mi jeszcze podziękujesz (*do Zenona*). Ale, muszę ci powiedzieć, że do składu naszego amatorskiego teatru, należeć będą panny Żarskie, córki naszego rządcy, który mieszka w Zalesiu.

ZENON. Dla czego musisz mi to powiedzieć?

HENRYK. Bo, bo...

RÓZIA (*przerwywając*). Daj pokój, skończmy raz tę nie-miłą rozmowę, zdaje mi się, że mam już dosyć przyjemności. Co do mnie, poproszę mamy, abyśmy dziś jeszcze mogły jechać do Zabina, dla rozmówienia się z Anielką i Marynią, co do wzięcia ról.

HENRYK. Które role przeznaczacie dla panien Żarskich?

RÓZIA (*prędko*). Wybór do nich należy, będą gośćmi w naszym domu.

HENRYK. Brawo! Ktoby myślał że nasza Różia w jednej chwili, staje się przeistoczoną zupełnie.

ZOSIA. Różia była zawsze dobrą, i tylko chwilowo tak...

ZENON (*przerwywając*). Więc gdy zgoda, i przebaczenie otrzymałem, proszę o rolę przeznaczoną dla mnie. Zabieram teraz Henryka, musi mię znów odprowadzić, a jeżeli go w drodze nie wyzwę na pojedynek, to będzie wynikiem mego dobrego humoru, że sprawa tak się szczęśliwie zakończyła.

HENRYK. Rola twoja jest u mnie, więc chodźmy, odprowadzę cię do lasku.

ZENON. O tem pomówimy, a teraz żegnam, i raz jeszcze proszę, aby panna Róża nie gniewała się na mnie. (*kłania się i wychodzi z Henrykiem*).

HENRYK (*wychodząc*). Do widzenia siostrzyczki; przyjemnej zabawy w Zalesiu.

RÓZIA (*po wyjściu Henryka i Zenona*). Zawsze Henryk nie zrobił, siostry nie powinien był tak zawstydzić, mam żal do niego o ten żart niedelikatny.

ZOSIA. Przebacz mi moja Róziu, miał jak najlepsze chęci, a istotnie udało mu się wybornie. Ale muszę iść, mama zostawiła mi zlecenie aby dopilnować porządkowania w spiżarni, bo gosposia dobra ale czasem co przeoczy. Może pójdiesz ze mną?

RÓZIA. Nie, muszę znów moję robotę doprowadzić do porządku, bo jak namusia wróci, chcę prosić aby nam pozwoliła jechać do Zabina. Wróciłybyśmy z panną Wandą.

ZOSIA. Tembardziej muszę się śpieszyć. (*wychodzi*).

## Scena VII-ma.

RÓZIA później WIKTORKA.

RÓZIA. Podobno że nie miałam słuszności, chociaż co-cawda... cprawda... niema nic złego mieć tytuł hrabiny. (*myśli się*). E, daj sobie pokój moja Róziu, wylecz się z tej różności, panna Wanda powiada... (*kładzie palec na czole*) k ona to powiada... (*po chwili zamyślenia*) aha, powiada, że lowiek szczęście nosi w sobie, że znów powiedział któryś eta, ale który?... oj, podobno trzeba się i do literatury brać lepiej. Ale, jak on to powiedział? .. a! „ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim”.

WIKTORKA (*wbiegając prędko*). Panienco! goście przy-hali! ale ja nim przybiegłam, żeby panienco o tem powieeć, uszykowałam pierw (*wybiec na palcach*) niebieską suk-nkę, świecące pantofelki, ażurowe pańczochy, rękawiczki wet, a rurka do włosów ezrowona od gorącości.

RÓZIA. Zawsze się rozporządzasz sama, któż ci kazał?

WIKTORKA (*zdumiona*). Kto mi kazał? Dziś nikt, ale wysłałam że to już teraz zawsze do gości panienco się nie będzie. Chciałam panienco dogodzić...

RÓZIA. Któż przyjechał?

WIKTORKA. A no, przyjechał ksiądz proboszcz, szcze jakiś drugi księżulek, siwusieńki jak gołąbek.

RÓZIA (*radośnie klasnąwszy w ręce*). Ach! to pewnie dziadziś kanonik Porębski, stryjcio naszego tatusia, ach Boże! jakaż jestem szczęśliwa. (*biegnie śpiesznie do drzwi*).

WIKTORKA (*zastępując jej*). Panienco, a niebieska sukienka i ażurowe pańczoszki?

RÓZIA (*wybiegając*). A dajże mi pokój, (*staje we drzwiach*) wiedz o tem, że się teraz nigdy do gości stroić nie będę. (*wy-biega*).

WIKTORKA (*patrzy za nią przez chwilę, potem wzrusza ramionami*). Ta panna Róża to istna chorągiewka, jużci się stroi, jużci nie. No, obaczmy długo to tego będzie, chociaż po prawdzie, na mój prosty rozum, to panienco, jak ma czy-stą sukienkę, umytą twarz i ręce, (*rozprawiając rękoma*) uczesane włosy, to choćby na salony (*śmieje się*). E, podobno ja to od panny Wandy usłyszałam, jak raz mówiła pa-nienkom... (*przypominając sobie nagle*) Aj! tam się rurki w ogniu roztopią, panna by mię chyba wybiła. (*wybiega, kurtyna zapada*).

## ROZMAITOŚCI.

Pismo „Przyjaciel Zwierząt” podaje ciekawe szczegóły o zwierzętach wslawionych długowiecznością, na mocy niezaprzeczonych dowodów, jak zawieszono na ich szyi obręcze z wyszytą datą roku, w jakim zostały przytwierdzone do ptaka, ryby lub płazu, który je nosił.

I tak w pewnej miejscowości, w Anglii, przechowują skorupy żółwi, które według wyrytej na nich daty, żyły po lat 120 i 200.

W roku 1497, złowiono w sadzawce w mieście Heilbronn, szczupaka, który według napisu na metalowym pierścieniu otaczającym jego kark, wpuszczony został do tejsze sadzawki przez cesarza rzymsko-niemieckiego Fryderyka II w r. 1230, a zatem na 267 lat przed złowieniem go,

W r. 1852 szlachcic Karol Ellersmere był właścicielem muła mającego lat 80 – 100. Wiek zwierzęcia wiarogodnie był wykazany piśmiennymi dowodami.

W Bawaryi pewien obywatel ziemski posiadał synogarlicę w wieku udowodnionym lat 100.

Przed kilkoma laty skończył życie w Chantilly najstarszy w świecie karp w wieku lat 475. Był on własnością miejscowego kupca i wielce ceniony jako pamiątka historyczna. Światło dzienne ujrzał za panowania Franciszka I w majątności hrabiego Cossé. Następnie sprzedany został za 1300 fr.; odtąd jako klejnot rodzinny przechodził z ojca na syna, a śmierć znalazł w walce z olbrzymim szczupakiem. Karp ten znany był pod nazwą „Gabryel.” Długość jego wynosiła 69 cent. a obwód 75 cent.

W parku Wersalskim znajduje się jeszcze obecnie piękny kruk, który według wiarogodnych dowodów, dochodzi już 110 lat wieku, był to ulubiony ptak królowej Maryi Antoniny, i gnieździ się dotąd wśród bujnych traw i zarośli, otaczających mały i wielki Trianon. Skąd się wziął, niewiadomo, lecz podanie niesie, że pewnego pięknego poranku, a mianowicie 6 października 1785 r., królowa stojąc przy otwartem oknie, spożywała mleko z biszkoptami — gdy nagle spuścił się z wysokości na gzyms okna, kruk niezwyklej piękności. Po chwili zaczął trzepotać skrzydłami jakby prosił o trochę pożywienia. Królowa podzieliła się z ptakiem swoim śniadaniem. Następnego dnia odwiedziły ptaka powtarzały się bez przerwy; przysnacczkami znęcony, przywiązał się tak do królowej, że skoro tylko ujrzał w parku białą jej suknię i słomiany kapelus, zjawiał się natychmiast i krok w krok za nią postępował, nawet w łódce na stawie wierny ptak jej towarzyszył. Od 1789 r. odźwierni i stróże Trianon kruk nie widzieli, dopiero w 1810 r., gdy cesarzowa Marya Ludwika, po zaślubieniu Napoleona I, zamieszkała pawilon zajmowany niegdyś przez Maryę Antoninę, kruk zjawił się ponownie podczas śniadania i w temże samem oknie. Odpędzany przez służbę, żadnymi pogróżkami nie dał się odstraszyć. Był to kruk Maryi Antoniny, poznany po złotej na szyi opasce ręką jej



zawieszanej. Obecnie kruk ten historyczny pielęgnowany jest troskliwie przez służbę pałacową w Wersalu.

W Amsterdamie pewien przemysłowiec był posiadaczem starej papugi przez lat 32, a gdy ją otrzymał miała już lat 44. Ptak ten w młodości swojej był wzorem sprytu, uczoności i zdolności do paplania. W 60 roku życia zaczął tracić pamięć, i nie tylko że już nic nowego nie dał się nauczyć, ale wszystkie słowa, zdania i rozmówki zapominał i pomijał. Od 73 roku życia swego pozostawał już w stanie zupełnego wycieńczenia sił, stracił wzrok, a nadto pozostawał w ciągłym jakby letargicznym uśpieniu. Żywno go od czasu do czasu marcepanem moczonym w starej maderze. Do 60 lat odnawiał rok rocznie pióra, ale w ostatnim pierzeniu w miejsce piór czerwonych w ogniu wyrosły pióra żółte.

W 1839 r. w kanale St. James w Londynie, skończył życie olbrzymi łabędź, w wieku lat przeszło 70. Znanym był całemu miastu, pod nazwiskiem „stary Hans.” Historia jego młodości podaje, że puszczonym był do stawu przy pałacu Buckingham, gdzie miał szczęście być często karmionym ręką królowej Karoliny-Maryi-Amalii, małżonki Jerzego IV. Siła i temperament tego ptaka należały do wyjątkowych; chwycił często psy zbliżające się do stawu, a biedne te zwierzęta nieraz grób swój w nim znalazły. Znanym był wypadek wciągnięcia przez Hansa do stawu małego chłopczyka, biegającego nad brzegiem. Od czasu wszakże, gdy towarzystwo ornitologiczne w Londynie, zaczęło staw zapelnić ptakami wodnymi, zagranicznymi, stary Hans przestał być królem miejscowości i narażonym był nieraz na bolesne potyczki z przybyszami. Po większej jednak części wychodził zwycięsko z każdej walki. W końcu napadnięty przez stado gęsi, sprowadzonych z Polski, silnie poturbowany i okryty ranami wyzionął ducha.

W 1792 r. czytano w pismach angielskich, że na jednej z wysp przyłaski Dobrej Nadziei, pojmany został przez misionarza indyjskiego sokół i przywieziony do Anglii. Na złotolitym pasku przytwierdzonym do szyi ptaka, wyritym był następujący napis w języku angielskim: „Ten piękny sokół należy do pełnego chwały monarchy, Jakóba króla angielskiego. Roku pańskiego 1610.” Tym więc sposobem sokół po upływie 182 lat przebył przestrzeń z Anglii do rodzinnego swego kraju.

Odnosnie do owadów, można przyjąć zasadę, że owad doszedłszy zupełnego swego rozwoju, bardzo już krótko żyje. Niektóre gatunki żyją tylko kilka do kilkunastu godzin. Pchły żyją do 9 miesięcy.

Co się tyczy płazów: ropucha żyje lat 36; żaba 12—16 lat.

Życie ptaków przedstawia rozliczne spostrzeżenia. Papuga i gęś żyją 100—120 lat. Sokół i kruk mniej więcej 150 lat.

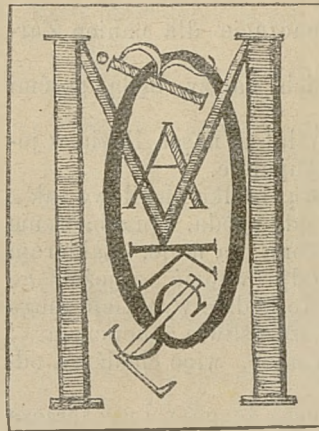
Z pomiędzy zwierząt ssących, wieloryb i słoń w normalnych warunkach, żyją 109—200 lat. Przeciętny wiek konia obliczają na 25 lat. Bydło rogate żyje 15—20 lat. Owca i koza 12 lat. Lew od 20—50. Kot 8—18. Pies żyje od 14—15 lat.

## LOGOGRYF.

przsz Ewę Maryę.

Z pięciu głosek się składa wyrazów igraszka;  
Odejmując po jednej, resztę zgadnąć fraszka!  
Pierwsza ziemię osnuwa, jak ogromne sieci;  
Drugi posila, ogień uocniej przezeń świeci;  
Trzecie, nie lży, lecz słabym dobre wino stare;  
Czwarte zamilcz, w grzeczności zachowując miarę;  
Piąte jest samogłoska długa i... nic dalej!  
Więc niechaj myśliciele odgadują mali.

## ŁAMIGŁÓWKA MONOGRAMOWA.



Z liter składających powyższy monogram ułożyć wyrazy, których znaczenie:

1. Księga święta Muzułmanów.
2. Miasto portowe w Danii.
3. Półwysep w Grecji.
4. Półwysep w Azji.
5. Pasma gór w Japonii.
6. Rzeka w Rosji.
7. Miasto stołeczne w Japonii.
8. Prowincja w Peru.
9. Miasto w Syberii azyatyckiej.
10. Miasto na Sumatrze.
11. Jedna z wysp Sundzkich.
12. Port w cesar. Maroko.
13. Wyspa, miejsce urodzenia Hipokratesa.
14. Dola lub niedola życia ludzkiego.
15. Miasto targowe w Nigrycji.
16. Rzeka w Arabii.
17. Jeden z pięciu zmysłów.
18. Kwiat z rodziny makowatych.
19. Kawały lodu na rzece.
20. Narzędzie rolnicze.
21. Owoc drzewa z rodziny różowatych.
22. Owad z gatunku błonkoskrzydłych.
23. Zwierzę z rzędu mięsożernych.
24. Naczynie gliniane.
25. Drobną przyczyną wielkiego często pożaru.
26. Podział czasu.
27. Przestrzeń porosła drzewem.
28. Potwór bajeczny.
29. Przejście z dnia do wieczora.
30. Część płynna owoców.
31. Inaczej pokój.
32. Zwierzę z gromady mięczaków.
33. Ptak z rodziny śpiewających.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 12-go.

Szarady: Po — ziom — ka.

### Zadania konikowego:

Po lipowym starym moście  
Na wesele jadą goście.  
Jedzie matka, Dobra Wola,  
Aż się złocą od niej pola.  
Suknia na niej, jak na pani,  
Złotem tkana przerabiana.  
Na przyjęcie siostra Cnota  
Otworzyła stare wrota.

(Wyjątek z wierszy „Do mojego grajka”).

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

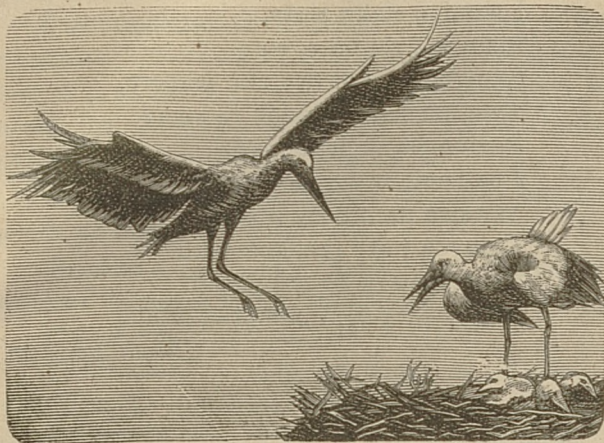
Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Głazy śpiewające (z drzeworytami). — Żale roślin po zgonie Zbawiciela, wiersz p. Sew. Duchnińską. — Balonem do bieguna p. W. Umińskiego — Złośliwy słoń p. Bohdana. — My i oni, komedyjka w jednej odsłonie p. Bronisławę Porawską. — Rozmaitości, Łamigłówek i rozwiązań. **Dodatek:** Bociany, p. Alf. Łaszcz (z drzew.) — Do skowronka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Sprawozdanie z konkursu kaligrafii. — Odwaga i zuchwalstwo, p. M. P. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Wstęp puszcz meksykańskich.



# WIECZORY RODZINNE.

## BOCIANY.



W połowie marca, gdy pierwsze promienie wiosennego słońca niewszędzie zdołały jeszcze usunąć biały śnieg z pola, a wezbrana rzeka unosiła do morza lodową swą powłokę, liczne stada ptasząt poczęły zlatywać do naszych wiosek, witając je radosnym świątym.

Wraz z innymi wróciła także i para bocianów. Spędziła ona zimowe miesiące w gorącej Afryce, w gronie współbraci. Nie brakło tam żab, ślimaków, ryb i gadów, smutnie jednak upływał czas z dala od rodzinnego kraju. Stały całymi dniami w hagnach, na jednej nodze śniąc o rodzinnej wiosce i o starem gnieździe, i czekały niecierpliwie, rychło li będą mogły wrócić pod swoje szare niebo.

Jak tylko przeczuli, że tam zbliża się wiosna, pierwsze rozwinęły skrzydła do lotu. Przebyły morza, góry wysokie, gdzieś zatrzymując się trochę dla nabrania sił. Najuciążliwszą zwłaszcza była przeprawa morską, bo tu przez kilka godzin z rzędu musiały biedne ptaki, walcząc z silnym wiatrem, unosić się w powietrzu; gdyby zaś którego z nich opuściły siły, a jakiej wysepki lub płynącego okrętu w pobliżu nie było, znalazłby zgon niechybny w spienionych falach morza!...

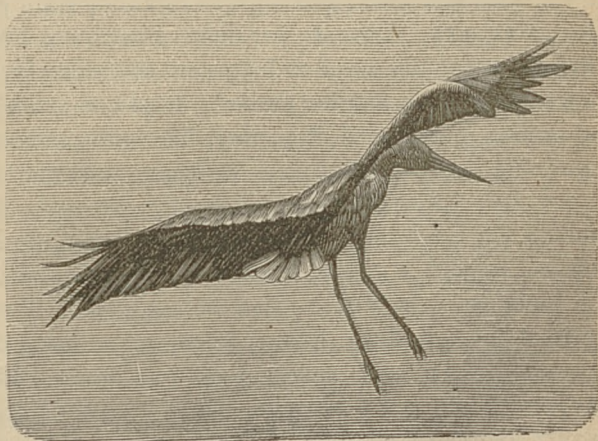
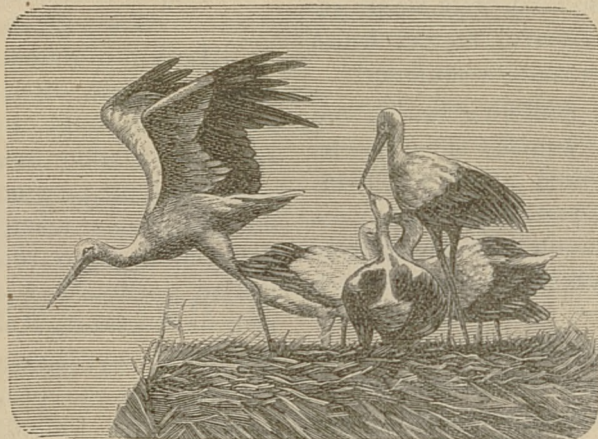
Ominąwszy wszystkie przeszkody szczęśliwie, ujrzały wreszcie znaną sobie dobrze wioskę z krzyżem przy drodze, studnię z wysokim żórawiem i chat słomiane strzechy. Klekocąc radośnie obleciały dokoła wioskę, poczem przy wesołych nawoływaniach wieśniaków, „boćki, boćki!” zajęły stare gniazdo i stanąwszy na jednej nodze, spoczywały po trudach podróży.

Porzucone na czas zimy gniazdo, uszkodzone było przez wiatry i śniegi, następnego tedy zaraz ranka, za-

brała się skrzętnie bociania para do jego naprawy: on znosił chrust i gałązki suche dla wzmocnienia gniazda, ona zaś wyścielała je mięką słomą.

W połowie kwietnia w gnieździe świeciło już pięć białych i gładkich jajek; cały miesiąc musiała je teraz pani boćkowa wygrzewać dniem i nocą, co wobec częstych u nas w tymże czasie deszczów nie było ani łatwym ani przyjemnym. Pan bocian przechadzał się tymczasem w polu za plugiem lub nad stawem, szukając glizd, żab i ślimaków dla swej małżonki, gdy zaś ta pragnęła napić się wody, zajmował sam jej miejsce w gnieździe.

Pewnego dnia pani boćkowa zobaczyła pękniętą skorupkę jednego z jajek, a w niem wyklute małe ptaszę. Na radosny klekot żony przyleciał bocian, niosąc w dziobie robaki, które przeszły do dzióbka nowonarodzonego. Wkrótce pozostałe cztery jajka wydały również po jednym ptaszku; w gnieździe zrobiło się tedy ludno, głośno i wesoło. Bociany nie mogły dosyć nacieszyć się swem potomstwem. Pan bociek bezustannie latał za żywnością, której trzeba było teraz o wiele więcej, aby wykarmić pięcioro dzieci. Pani boćkowa rozpostarłszy skrzydła, ochraniała niemi dźwiatwę przed wiatrem i deszczem, a gdy słoń-



ce przygrzewało bardziej i zmęczony bociek odpoczywał przy gnieździe, wyręczała go znów boćkowa w szukaniu pożywienia.

I dobrze się działo w gnieździe małym pisklętom, szczęśliwie płynęły ich dni dziecięce, jak wam drodzy czytelnicy pod opieką dobrego ojca i kochającej matki.

Niezawsze jednak na świecie bywa wesoło; do najszczęśliwszej rodziny, nawet w ptasim gnieździe, zakradnie się nieraz smutek i niedola! Oto pewnego poranku,



dwunastoletni syn leśniczego zabrał ojcu pokryjomu strzelbę, chcąc sobie zapolować; pani boćkowa spostrzegłszy go jak mierzył z dubeltówki w stronę jej gniazda, przeczuła grożące dziatwie niebezpieczeństwo i okryła je szerokimi skrzydłami; w tejże chwili padł strzał, raniąc biedną mateczkę małych boćków, która zamiast uciekać wołała pozostać i ocalić ich życie, droższe aniżeli własne!

Przyleciał bociek, a widząc leżącą bez ruchu boćkową, zaklekotał żałośnie, sądził że już nie żyje; nabrał pełen dziób wody i ocucił postrzeloną, boćkowa otworzyła oczy i przyszła do siebie, ale nie mogła wlecieć mając postrzelone skrzydło. Przybiegł wtedy ojciec niedobrego chłopca, a widząc co ten uczynił, ukarał w miejscu, gdyż jak wiadomo bociany tępią szkodliwe robactwo, są w wielkim poszanowaniu u ludu, który zabicie ich za grzech poczytuje.

Niestrudzony bociek musiał teraz żywić prócz pięciorga podrastających dziątek, chorą żonę, póki ta nie zdołała sama wyszukać sobie pokarmu. Gdy nadszedł czas, wszystkie boćki wyfrunęły, dopiero wieczorem powracały do gniazda; pewnego jednak razu powróciło ich tylko dwoje, a później ani jedno; rozeszły się po sąsiednich wioskach, zapomniały o chorej matce, która zasłaniając je od niebezpieczeństwa została ranioną.

Po upływie pewnego czasu, boćkowa wstała, nie miała jednak siły jak przedtem wznieść się w powietrze, a tu już zbliżała się chłodna jesień a z nią i czas odlotu ptaków. Zdarzało się wprawdzie że chore bociany zostawiano na zimę na łasce miłosiernych ludzi, ale to były wypadki rzadkie i nasze boćki tylko coś niecoś o nich słyszały.

Przy końcu sierpnia, wczesnym rankiem wszystkie bociany z okolicy zebrały się na pobliskiej łące, radząc kiedy i dokąd odlecieć mają na zimę. Postanowiono nie do Afryki jak poprzednio, lecz dążyć do Azji połudnowej, do źródeł Gangesu, gdzie przemieszkują stale pokrewne im marabuty. Dorosłe już dzieci boćków o których mówiliśmy, poleciały wraz z drugimi ale niestety, pani boćkowa lecieć nie mogła; wierny mąż chciał z nią pozostać razem, przebyć ciężką zimę, lecz nie zezwoliła na to, namówiła go do odlotu, dowodząc, że sama łatwiej sobie poradzi, gdyż poczciwi wieśniacy, którzy zakładają gniazda dla boćcianów na swych strzechach, nie dadzą jej pewnie zginąć z głodu i zimna, nie odmówią kęsa chleba i miejsca w komorze. Tak się też stało. Przeszła szczęśliwie zimą, podczas której dzieci gospodarza od ust sobie odejmowały aby żywić boćkową bardzo z niemi zaprzyjaźnioną \*) a z nastaniem wiosny powróciły znów bociany z dalekiej wędrówki. Jednym z pierwszych był nasz bociek, powitany przez żonę radosnym klekotem z wysokiego gniazda, na którym siedziała samotnie.

Łatwo pojąć że po tak długim niewidzeniu nie było końca wzajemnym opowiadaniom o przygodach doznanych podczas rozdzielenia. Na drugą zimę bociany odleciały już razem do południowych krajów.

*Alf. Łaszcz.*

\*) Wypadek przezimowania w kuchni skaleczonego bociana, który odlecieć nie mógł, zdarzył się w znajomem nam miejscu.

## DO SKOWRONKA.

— Skowroneczku! lube ptaszę,  
Powróciłeś w strony nasze,  
Przynosisz nam wieść o wiosnie,  
Więc witamy cię radośnie!  
Skoro ranne błysną zorze,  
Wstaje rolnik w imię Boże,  
I witając słońce złote,  
Idzie w pole na robotę.  
Skowroneczku, ptaszku wiosny,  
Twey piosenki dźwięk radosny  
Rozwesela w pracy ludzi,  
I nadzieję w sercach budzi.  
Witajże nam luby ptaku,  
Naszych pól i łąk śpiewaku,  
Niechaj tony twojej pieśni  
Zadźwięczą nam jaknajwcześniej.

*Helena Bojarska.*

## Sprawozdanie z konkursu kaligrafii.

Leży oto przed nami spora paka prób kaligrafii waszej, drogie dzieci, i przyznać wam to musimy, że z wyjątkiem kilku (na których wszakże znać usilne staranie) wszystkie kreślone są pismem kształtnem, ręką widocznie już przyuczoną do dobrego trzymania pióra, cò rzeczą jest niezmiernie ważną. Że nie brakło wam dobrych chęci o tem aż nadto przekonani jesteśmy, znając gorliwość z jaką zawsze odpowiadacie na tego rodzaju wezwania Redakcyi, to też oceniając wasze dobre chęci, wyrozumiałemi jesteśmy na małe niedokładności, które przypisujemy wiekowi. I dla tego właśnie, że dziecięcym i młodocianym latkom należy się od starszych zachęta i pobłażanie, najwięcej ich zawsze okazujemy dla najmłodszych z waszej gromadki. Czyż bowiem można być surową dla takich sześcioletnich, jak Doktorek, lub mała Figlarka z P.? Ta ostatnia wprawdzie, jak na początkującą, za małe stawia litery, ależ bo i paluszki małe; pismo nie bardzo wprawne, lecz kiedy miała czas się wprawić? Więcej dotąd z lalkami niż z piórem musiała mieć do czynienia. Pewni jesteśmy, że na przyszły raz weźmie najpierwszą nagrodę tak, jak dzisiaj bierze w słowach pochwałę należną każdemu szczeremu usiłowaniu.

Do 7 letnich zaliczają się: Mrówka leśna, której kaligrafia odznacza się szczególnem, wyjątkowem staraniem o piękny wygląd, Pociuszka rodziców, Pieszczotka mamy, Jaszczurka, Lodzia Eiz. i Zygmunt Pol. Łącząc z nimi Władzia Pod. który ma już rok ósmy i jeżeli nad pismem swoim popracuje, będzie mógł je poprawić.

Z ośmioletnich nadesłali nam próby pisma: Czupurny Kogucik, Żuczek podolski, Stasia Pat., Benjaminek, (dobry to nasz znajomy!), Zielona Żabka, Paproć z nad Utraty, Juliś Beł., Kuropatewka z nad Warty, Wietrzy-

Oswoił się on do tego stopnia, że gdy kucharz siekał mięso, kładł dziób na stole dopominając się w ten sposób o część swoją.

*(Przyp. Red.)*



cy Wyżeł, Krokodyl, Irenka Wierz., Aza, Żmujdzin z nad Niewiaży, i Hanka Jak.

Z dziesięcioletnich wymieniamy: Wiosenkę, Ewunię M., Melunię M., Wańdzię Skrz., Terenię Pat., Złotą Różę, Wacia Dz., Jadzię Eiz., P. z pod Warszawy, Słowiczka z nad Łubiany, Pszczółkę z P., Śmieszkę z nad Niewiaży, Litewskiego wilka, Manię D., Kukulkę tepliką, Stefcie Libr., oraz Helcie Pol.

Z dziesięcioletnich nadesłali tylko próbki kaligrafii: Opoczniak, Czesława i Dusia K., a oprócz wyżej wymienionych 11-to letnia Pojata i 14 letnia Rzepicha, które nie należą już do ubiegających się o nagrody konkursowe, oraz Rycerz, który nie wymienił lat.

Wymieniamy porządkiem alfabetycznym zasługujących na nagrodę 1-go stopnia:

Czesława, Doktorek, Hanka Jak., Helena Pol., Jaszczurka, Mrówka leśna, Wiosenka, Zygmunt Pol.

Na nagrodę 2-go stopnia zasłużyli:

Benjaminek, Czupurny Kogucik, Dusia, Paproć z nad Utraty, Śmieszka z nad Niewiaży, Stefcia Libr., Stasia Pat., Terenia Pat., Wietrzący Wyżeł, Wańdzia Skaz., Żuczek i Żmujdzin.

Tym zaś, którzy nagrody nie otrzymali, przesyłamy słowa zachęty i prośbę, aby starali się wprawiać w piękne pismo, a mamy nadzieję, że wtedy znajdą się w liczbie tych, których praca najlepiej odpowiada naszym wymaganiom.

Nagrody są do odebrania w Redakcyi.

## ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

Nadeszły żniwa; państwo Blossom byli bardzo zajęci, i nikt się nami wyłącznie nie zajmował; mogliśmy cały dzień spędzać gdzie i jak się nam podobało, bylebyśmy w porę przychodzili na obiad i na wieczerzę. Czasami zastawaliśmy w domu ojca Jasia, aleśmy z nim nigdy nie rozmawiali. Zwykle spał on w trawie albo palił fajkę w cieniu, a my unikaliśmy go, bo jak się tylko odezwał, to kłął na czem świat stoi; wtedy zdawało nam się, że źle robimy przychodząc tutaj. Jaś także czasem przeklinał, ale wkrótce sposirzegł, że nam się to nie podoba i starał się odzwyczaić. Matki Jasia nigdy w domu nie było; powiadano, że nie mogła na miejscu usiedzieć i bezustanku włóczyła się po okolicy. Z pochodzenia była cyganką i po rodzicach odziedziczyła naturę niespokojną. Jaś mówił, że kiedyś z pewnością się przyłączy do bandy cyganów i nie wróci do domu. Ach! żebyż to prędko nastąpiło! dodawał w końcu.

Julek nie lubił tak Jasia, jak ja, i gdyby nie kawki, toby go tak często nie odwiedzał, ale bardzo mu się te małe ptaszki podobały. Nieraz całemi godzinami trzymał je na kolanach w koszyku, karmił, albo przyglądał się jak spały, schowawszy główki pod skrzydełka.

W czasie żniw pogoda była prześliczna. Codzień

rano słońce wschodziło na czystym niebie, a o południu przypiekało tak mocno, że liście na drzewach więdły, w lasach ptaki przestawały śpiewać. Rolnicy cieszyli się, że Bóg dał im dobry urodzaj, wesoło zwozili zboże na ogromnych wozach i układali je w wysokie sterty.

Pan Blossom zawsze był w dobrym humorze, chociaż się męczył i wieczorem po powrocie do domu nie mógł tchu złapać, a opalił się jak indyanin meksykański. Żona jego od rana do wieczora była zajęta w domu, bo nie miała to praca przygotować obiad i wieczerzę dla tylu robotników.

Pod koniec żniw, wszystko na folwarku, co nie zbierało zboża, krzątało się około wielkiej uczy na dożynki, a ta uczta była dla całej wsi największą uroczystością w roku.

Janek i ja przyglądaliśmy się, jak dziewczki miesiły olbrzymie, pełne ciasta dzieże i wyrabiały ogromne placiki i mnóstwo doskonałych placuszków i obwarzanków. Robota szła rażno na polu i w domu; my obaj, to pomagaliśmy pani Blossom bić masło i zbierać śmietanę, to szliśmy na łąn i tam zbieraliśmy kłosa dla biednych; bo na polach poczciwego dzierżawcy każdy ubogi miał prawo podnosić upadłe za żeńcami kłosa, a on sam zwykł był mówić: Nie będą moje sterty mniejsze, jeżeli ubodzy tzbierają sobie jaki snopek pszenicy. Słyszałem, jak biedna wdowa błogostawiła go temi słowy; „Niech mu Bóg nagrodzi! choć jego wozy wracają lżejsze do domu, to każdy kłosek zaważy na szali u Boga!”

We wsi wszyscy pracowali, wyjąwszy Jasia i staroego Bootha, który się wygrzewał na słońcu, albo z fajką w zębach i rękami w kieszeniach obojętnie się przyglądał żeńcom. Julek bądź co bądź musiał codzień choć raz odwiedzić kawki, ja mu chętnie dotrzymywałem towarzystwa i podczas gdy Julek pieścił się z ptaszkami, ja opowiadałem Jasiowi o wielkich przygotowaniach na folwarku.

Żniwa mogłyby się skończyć we czwartek, ale tego dnia przypada jarmark w miasteczku, i pan Blossom musi pojechać sprzedać dwie krowy, więc dożynki będą dopiero w piątek. Zwiozą ostatnie snopy pszenicy, a wieczorem podadzą kolacyą. To dopiero będzie prześlicznie!

Siedzieliśmy w trawie nad stawem, a ojciec Jasia leżał niedaleko od nas. Podczas naszej rozmowy przysunął się bliżej i słuchał uważnie, ale nic nie mówił.

— Gdzie będzie zastawiona wieczerza? — pytał Jaś.

— W dużej stodole za folwarkiem, bo w kuchni nie byłoby dosyć miejsca na 50 osób, i pani Blossom powiada, że potem musiałyby przez cały miesiąc szorować i czyścić.

— To będzie aż 50 osób?

— Tak, dziś rano wszystkich zliczyliśmy, bo wiesz i kobiety są także zaproszone. Pan Blossom woli wszystkich razem przyjąć niż przygotowywać osobno herbatę dla kobiet. Dziś po obiedzie wymiotą stodołę, a jutro Ben Davis przybije wieńce z dębowych liści, żeby ładnie wyglądała. My będziemy mu pomagali i chcemy ułożyć wielkie V. R. z liści wawrzynu, aby zawiesić je na głównej ścianie.

(d. c. n.)



ZAGADKA.

ułożył Stefan K.

Drzy poganin ze strachu przed postacią moją,  
A chińczycy mnie nawet w piękne szaty stroją;  
Wściekły biję o skały, gdy wzburzone morze;  
W zimie zaś mnie ze śniegu robią dzieci hoże.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

(Sarenka lubelska).

1. Spółgłoska.
2. Zaimek wskazujący.
3. Rzeka wpadająca do Odry.
4. . . . .
5. Narzędzie rybackie.
6. Część twarzy.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko sławnego historyka greckiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

*Homonimu: Ż ó r a w.*

*Niteczki aryadny:*

Jaś wstaje późno, coś nie wesoły,  
Staś chętnie rano idzie do szkoły.

*Ewa Marya.*

Skrzynka do listów.

**Jadwini R. w Chrzanówce.** Historia naturalna z obrazkami taka sama jaką mieć pragniesz kochana Po...o najlepsza jest Strassela, w przekładzie pr. Wrześniowskiego, kosztuje rs. 1 kop. 80 z przesyłką pocztową rs. 2. Ściskamy cię nawzajem serdecznie.

**Rycerzu kochany,** dla nikogo chyba nie jesteśmy zbyt srogimi; są tylko wymagania, od których odstąpić nie możemy i do tych należy warunek, aby przy każdej odpowiedzi na konkurs nadesłanej, czy to wypracowaniu, czy próbie kaligrafii, wymienić koniecznie lata. Inaczej nie wiemy, jak osądzić wasze prace i dla tego też nie możemy zaliczyć twojej — bardzo starannej, przynajmniej — do żadnej z ustanowionych kategorii.

**Słowiczek z nad Łubiany i Pieszczotka mamy,** również jak **Lusia Jw.** i siostrzyczka jej **Stefcia** znajdują o sobie wzmiankę w sprawozdaniu konkursowem. Nigdy nie wątpimy, że dziatwa nasza dokłada wszelkiego starania, aby zrobić jak najlepiej.

Bardzo nam miło rozpocząć korespondencję z **Doktorkiem.** Do tytułu doktora daleko mu jeszcze, ale skoro pisać się nauczył, postawił już pierwszy krok na tej drodze, która wiedzie od abecadła do dyplomu. Prosimy o doniesienie nam, jak idą nauki, bo tego rodzaju wiadomości zawsze nas zajmują. **Świątełko** przestało już do nas pisywać, niechże je zastąpi młodsze rodzeństwo, któremu życzymy takiego samego powodzenia w naukach.

**Kret z Nowor. i Wiewióreczka** nadesłali dobre rozwiązania; widocznie pożyteczną jest rzecz „długo myśleć.”

Komedyjki, o które pyta **Wiochna**, drukują się od czasu do czasu w naszym piśmie, w tym roku już drukowaliśmy jedną, która o ile nam się zdaje, nadaje się do teatru amatorskiego. Bardzo to ładnie że **Wiochna** doprowadziła do skutku zamiar napisania do nas. Przekona się zapewne tak, jak przekonała się **Paproć nadwiślańska**, że najtrudniej jest zdobyć się na pierwszy list. **Paproci** wysyłamy żądany numer.

**Horpyno**, naprawdę myśleliśmy, żeś zapomniała o nas! Tymczasem oto odbieramy list, pisany przez tę samą, zawsze poczciwą i serdeczną dziewczeczkę, poważną już teraz staruszkę. Masz słuszną przynajmniej, że nie doznałaś w życiu przyjemności żywszej nad przyjsie do zdrowia matki, niema bowiem większego nieszczęścia, jak utracić kogoś z ukochanych najbliższych. Na pytanie zadane nam co do liścików, odpowiedzieliśmy w jednym z poprzednich numerów.

Pamiętamy cię **Fatymo**, eks-Zawierucho, i serdecznie witamy po długiej przerwie stosunków. Czy odpowiedź zamieszczoną w liście mamy uważać za wypracowanie konkursowe?

**Koch-Hal.** pyta o podróże; polecić jej możemy Verne'a, Mayne-Reid'a. Z polskich „Zwycięzcy Oceanu“ przez Wł. Umińskiego. Nie są to, ma się rozumieć, opisy przygód prawdziwych, lecz pełne fantazyi opowiadania urojonych, zawierające w sobie jednak dużo prawdziwych szczegółów i prawd naukowych.

**Ułanka z nad Kaniny** nic nam nie jest dłużną; przesyłamy jej uścisk serdeczny.

Kochany „Korespondent“ (nigdy Korespądent) C. B. obiecuje postarać się i napisać lepiej na drugi raz. Szczerze nas cieszy ta obietnica, dowodzi bowiem, że nie jesteś zarozumiałym i skorzystasz z udzielonych ci uwag. Zanim się weźmiesz do układania szarad, trzeba się nauczyć pisać ortograficznie i wyrażać się poprawnie. Nie można bowiem pisać „rebuszy“, „wymyślicz“, „imnie“ (zamiast imię) nie można także używać wyrazu „kiepsko“, który jest wykluczonym ze słownika ludzi dobrze wychowanych.

Dobrze zrobił **Żmujdzin z nad Niewiaży**, że usłuchał „namowy mamusi i nauczycielki.“ Cieszymy się, że przyszedł do zdrowia, a widoczna jest rzeczą, że w chorobie nie zapomniał pisać, skoro liścik napisany tak starannie i poprawnie. Kaligrafia zaś... ale o tem, potem.

Dla czego „nie śmiesz“ się odzywać do Gołąbki i Jaskółki **Żabko nadobrzańska**? Nie powiedziałaś, tego gdybyś widziała, jak obie się cieszą z otrzymywanych od was listów. Poczciwe to i dobre panienki. Gołąbka jest nawet bardzo na swój wiek poważną, ale żadna z nich nie zasługuje na nazwę „czcigodnej.“ Ta roztrzepana Jaskółka, *czcigodna!* Przesyłkę o którą pytasz odebraliśmy.

W istocie, **Czerwony gwoździku**, lubimy, aby was jaknajwięcej należało do konkursów, Gołąbka zawsze gotowa odpowiadać na wasze listy, nie dając się zastępować Jaskółce, która na swoją ręką zawiązuje stosunki z wami.

**Loli F. w Pskowie.** Spełniając życzenie kochanej naszej korespondentki, pospieszamy donieść, że geografia początkowa Emilii Lei, będzie dla niej najodpowiedniejszą. Kosztuje kop. 30, zaś wraz z przesyłką pocztową kop. 40. Historia naturalna Strassela w przekładzie prof. Wrześniowskiego, najstosowniejszą również będzie w wieku Loli. Kosztuje rs. 1 kop. 80, z przesyłką do Pskowa rs. 2. Obie książki możemy kupić i przesłać otrzymany odpowiedni polecenie.

Chętnie, jaknajchętniej uważać będziemy za korespondentkę **Wiosenkę**, która przez miłość dla wiosny imię jej przybrała za pseudonym. Prosimy o dotrzymanie obietnicy częstego pisywania.

Podoba nam się ten **Żuczek**, który tak dba o sprawienie mamie przyjemności! Sama myśl twoja już przyjemnością jest dla niej. Za nadesłane nam szczegóły o sobie dziękujemy **Żuczkiowi** uściskiem.